

Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny



Piekło kobiet trwa...

Historie opowiedziane podczas
II Trybunału na rzecz Prawa Kobiet do Samostanowienia
O GODNOŚĆ KOBIECY

Listopad 2004

© Copyright by Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, Warszawa 2004

Opracowanie i druk publikacji były możliwe dzięki wsparciu finansowemu Pełnomocnika Rządu do spraw Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn i International Women's Health Coalition

Dziękujemy wszystkim osobom, które pomogły w opracowaniu tej publikacji, w szczególności zaś Weronice Chańskiej.

„Piekło kobiet trwa...” jest już drugą publikacją, w której przedstawia się historie kobiet opowiedziane podczas Trybunałów na rzecz Prawa Kobiet do Samostanowienia organizowanych przez Federację na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny.

Pierwsza publikacja – „Piekło kobiet - historie współczesne” – została wydana w 2001 roku. Wśród zamieszczonych w niej świadectw kobiet są historie, z których „dalszym ciągiem” można się zapoznać czytając tę broszurę.

Opracowała: Aleksandra Solik

Skład i łamanie: Bożena Sawicka

Wydawca:

Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny,
Ul. Nowolipie 13/15, 00-150 Warszawa
Tel./faks: (22) 635 93 95, 635 93 92
e-mail: federacja@federa.org.pl
www.federa.org.pl

druk: Zakład Poligraficzny J. Kink

ISBN 83-88568-14-0

Spis treści

Gdy krajem rządzą ci, których stać i na zabieg, i na dzieci...	11
Jednak wiedza to za mało	14
Mnie się na szczęście udało	18
Historia jakich wiele	20
Dziwna na własne życzenie	21
Z myślą o nich przerywam milczenie	23
Z perspektywy czasu	26
Lekarz tylko podejrzewał	29
Gdy lekarz się myli...	31
ONI mają swoje prawa	34
Historii ciąg dalszy	37

Art. 30. Przyrodzona i niezbywalna godność człowieka stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela. Jest ona nienaruszalna, a jej poszanowanie i ochrona jest obowiązkiem władz publicznych.

Art. 47. Każdy ma prawo do ochrony prawnej życia prywatnego, rodzinnego, czci i dobrego imienia oraz do decydowania o swoim życiu osobistym.

Konstytucja RP

8. Komitet ponawia swoje głębokie zaniepokojenie restrykcyjnym prawem aborcyjnym w Polsce, które może zachęcać kobiety do korzystania z niebezpiecznych, nielegalnych aborcji, którym towarzyszy ryzyko zagrożenia życia i zdrowia. [Komitet] jest również zaniepokojony niedostępnością aborcji w praktyce nawet kiedy prawo na nią zezwala, na przykład w przypadkach, gdy ciąża jest wynikiem gwałtu, jak również brakiem informacji na temat korzystania z klauzuli sumienia przez lekarzy, którzy odmawiają przeprowadzenia legalnych aborcji. Ponadto Komitet wyraża żal z powodu braku informacji na temat rozmiaru zjawiska nielegalnie przeprowadzanych aborcji i ich konsekwencji dla kobiet (art. 6).

Państwo powinno zliberalizować swoje ustawodawstwo oraz praktykę dotyczącą aborcji. Państwo powinno dostarczyć dalszych informacji na temat korzystania z klauzuli sumienia przez lekarzy oraz na ile to możliwe – na temat liczby nielegalnych aborcji przeprowadzanych w Polsce. Te zalecenia powinny być wzięte pod uwagę w czasie dyskusji w Parlamencie nad projektem Ustawy o świadomym rodzicielstwie.

9. Komitet ponawia również swoje zaniepokojenie przyjętymi przez Państwo Stronę regulacjami dotyczącymi planowania rodziny. Przyczyną zaniepokojenia Komitetu są również wysoki koszt środków antykoncepcyjnych, zmniejszenie liczby refundowanych doustnych środków antykoncepcyjnych, brak bezpłatnych usług planowania rodziny oraz charakter edukacji seksualnej (art. 6).

Państwo Strona powinno zapewnić dostępność środków antykoncepcyjnych oraz bezpłatny dostęp do usług oraz metod planowania rodziny. Ministerstwo Edukacji powinno zapewnić, by szkoły włączały do programów szkolnych dokładną i obiektywną edukację seksualną.

Uwagi końcowe Komitetu Praw Człowieka ONZ, 2004
po rozpatrzeniu piątego sprawozdania okresowego Polski

Gorąco dziękujemy wszystkim kobietom,
które nam zaufały i opowiedziały swoje historie.
Bez ich odwagi i wiary, że warto przerywać milczenie,
ta publikacja nie mogłaby powstać.

GDY KRAJEM RZĄDZA CI, KTÓRYCH STAĆ I NA ZABIEG, I NA DZIECI...

Trudno mi opowiedzieć swoją historię. Staram się o niej nie myśleć, bo jak zacznę myśleć, to znów nie będę spała po nocach. Dlatego zrobię to możliwie jak najkrócej.

O tym, co przeszłam, opowiedziałam Lidii Ostałowskiej, dziennikarce „Gazety Wyborczej”. 9 marca 2004 r. w „Gazecie” ukazał się jej artykuł zatytułowany „STRACH LEKARZY”. Wykorzystam go teraz, by opowiedzieć swoją historię.

Mam 28 lat. Chciałam przerwać ciążę ze względu na stan zdrowia. Cierpię na ostrą niewydolność żylną. Ciąża źle wpływa na stan układu naczyniowego. Kolejna ciąża i poród pociągały za sobą konieczność poddania się operacji nogi, a później wielomiesięcznej rehabilitacji. Kto wówczas zająłby się moją rodziną?

Wychowuję samotnie trójkę małych dzieci.

Przeszłam już jedną operację. Nie udało się jednak zahamować choroby, która pogłębia się z każdą kolejną ciążą. Teraz moja lewa noga jest spuchnięta, fioletowa po pachwinę, stopa nie wchodzi do buta. W prawej pojawiły się podskórne zgrubienia i wylewy. Noga bardzo boli. Trudno mi i chodzić, i stać. A podczas ciąży nie można brać środków przeciwbólowych.

Z powodu choroby nie wolno mi stosować wkładek antykoncepcyjnych ani hormonów. Po ostatnim porodzie prosiłam o podwiązanie jajowodów, ale powiedziano mi, że to w Polsce nielegalne. Pozostają prezerwatywy.

Tym razem zawiodły.

Nie chciałam rodzić. Z funduszu alimentacyjnego miałam po 250 zł na dziecko. Spodziewałam się, że będzie mniej, bo fundusz właśnie likwidowali. Pomoc społeczna czasem coś daje, czasem nie.

Ja choruję, chłopcy mają astmę oskrzelową, nie starcza mi na inhalatory, na lekarstwa. W poradni naczyniowej doktor krzyczy, że nie noszę rajstop przeciwżyłakowych. Kosztują 200 zł. A mnie po opłaceniu rachunków niewiele więcej zostaje na miesiąc.

Zdecydowałam się na aborcję przede wszystkim ze względu na stan zdrowia. Po operacji żył w 2002 r. kazali mi leżeć. Wtedy trochę pomagał mi mąż. Ale na wieść o ciąży mąż całkiem się zawinał. Nawet nie wiem, gdzie jest. Jak urodzę, będę miała nogi w strasznym stanie. Szpital, rehabilitacja... A dzieci sąd mi zabierze.

Nie orientuję się za bardzo w kwestiach prawnych. Sądziłam (jak wielu Polaków), że aborcja jest zupełnie zakazana, zabieg wykonuje się jedynie w podziemiu, a jak się wyda – kobieta trafia do więzienia. Dlatego nie zgłosiłam się do poradni K, tylko do prywatnego gabinetu.

Ginekolog zażądał za zabieg 2,5 tys. zł. Prosiłam, żeby rozłożył na raty. Nie zgodził się. Chciałam wziąć kredyt z banku. Odmówili. Załatwiałam w drugim. Przyznali mi 300 zł.

Czas mijał. W styczniu za namową koleżanki zgłosiłam się do Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny. Tam po raz pierwszy usłyszałam, że aborcja jest legalna, jeśli ciąża zagraża życiu lub zdrowiu kobiety. Poradzono mi, bym w swej poradni naczyniowej uzyskała zaświadczenie o medycznych wskazaniach do przerwania ciąży.

Lekarz wystawił diagnozę: „Chora należy do grupy wysokiego ryzyka powikłań zakrzepowo-zatorowych. W przypadku wystąpienia zakrzepicy, której ryzyko jest znacząco podwyższone, może dojść do stanu bezpośredniego zagrożenia życia”. Napisał również, że po każdym porodzie następowało u mnie pogorszenie stanu zdrowia.

Nie napisał o mojej obecnej ciąży. Nie wiedział. Bałam się do niej przyznać.

Pismo przedstawiłam w szpitalu rejonowym i poprosiłam o aborcję. Lekarzowi moja prośba wydała się zabawna. Powiedział, że chyba żartuję.

Nie wiedziałam, co robić. Zabić się? Nie mogłam ze względu na synów. Wychowałam się w domu dziecka.

Po powrocie do domu 11 lutego przez brzuch wstrzyknęłam sobie płyn do mycia szyb. Zemdlałam, dostałam torsji. Ze strachu przed karą nie wezwałam pogotowia. Nie poroniłam. To był tani płyn. Żałuję, że nie miałam na domestos. Zawiera chlor, jest bardziej żrący.

Federacja wspierała mnie w walce o należne mi świadczenie. Ponownie poszłam do lekarza z poradni naczyniowej. Tym razem towarzyszyła mi pani redaktor Lidia Ostalowska z „Gazety Wyborczej”. Do gabinetu weszłam jednak sama.

Poprosiłam, by lekarz dopisał do diagnozy jedno zdanie: „Kontynuacja ciąży stanowi zagrożenie dla zdrowia pacjentki”.

Z gabinetu wyszłam splakana: Nie napisze! Nie chce iść przeze mnie do więzienia!

Pani Lidia rozmawiała z nim chwilę później. Wyjaśnił, że żylaki same w sobie nie stanowią znaczącego zagrożenia dla zdrowia i życia. Mogą nim być w razie komplikacji, np. przy wystąpieniu zakrzepicy. A przecież nie wiadomo, czy zakrzepica się pojawi. Na tutejszym oddziale patologii ciąży leży wiele kobiet w podobnej sytuacji. Medycyna potrafi im pomóc. Na koniec powiedział: „Ryzyko zakrzepu jest w wypadku tej pacjentki niższe niż ryzyko porodowe. Załóżmy, że do powikłań dojdzie podczas aborcji. Wtedy sąd spyta, kto jej wystawił skierowanie na zabieg. I co będzie?”

Wiem, że Federacja zwróciła się w mojej sprawie do prof. Stanisława Radowickiego, krajowego konsultanta do spraw ginekologii i położnictwa. Profesor stwierdził, że nawet zakrzepica nie jest wskazaniem do aborcji. Powiedział też, że o tym, co jest wskazaniem, każdorazowo decyduje lekarz. Profesor nie dał się przekonać opinią chirurga naczyniowego, bo „chirurgzy nic nie wiedzą o ciąży”.

Procedury związane z moją sprawą trwały niemal dwa miesiące. Mimo to niewiele udało się uzyskać.

Federacja załatwiła mi wizytę na oddziale ginekologicznym szpitala, w którym za kilka miesięcy miałam rodzić. Ordynator zaproponował, bym oddała dziecko do adopcji.

Nikt nie wie, że kiedyś tak zrobiłam. A potem zawieźli mnie do psychiatryka. Wciąż płaczę po tej dziewczynce, chociaż parę lat minęło.

Nie próbowałam już sama usunąć tej ciąży. Bałam się, że umrę i osierocę swoich synów. A jeśli nawet przeżyję, to będę miała na sumieniu to dziecko, które jest we mnie. Bo mijał już piąty miesiąc.

Zgodziłam się na adopcję, ale postawiłam dwa warunki. Urodzę przez cesarskie cięcie, żebym dziecka nie widziała. Podwiążą mi jajowody, choć to nielegalne. Ubłagałam ordynatora. Kazał lekarce zrobić to „na lewo”.

Przy operacji były dwie pielęgniarki. Jedna mnie uspokajała, a druga odwoziła od adopcji. Mówiła: „Mam troje dzieci i żyję. Pani też da sobie radę”. Czułam się osaczona, myślałam o jajowodach.

Do domu wróciłam sama. Czułam jedno: czegoś mi brak, czegoś nie ma. Jak widziałam matki z wózkami, to mnie trafiało. Płakałam. Bo tylko wyrodna matka bez serca nie płacze i nie myśli.

Myślałam, że go nie oddam. I oddałam.

Miałam sześć tygodni na decyzję, zrzeczenie podpisałam po terminie. Zrozumiałam, że nie dam rady.

Zdrowie mi się pogorszyło, choroba sięga żył głębokich. Najstarszy syn widział ciężę, pyta o dziecko. Odpowiadam, że braciszek jest u cioci.

Czuję się pokrzywdzona. Zrobiłam coś wbrew swojej woli. Lekarze zmusili mnie do tego.

Po operacji nie chcieli ze mną rozmawiać. Byli wściekli, więc bałam się spytać, czy podwiązali mi te jajowody.

Do dziś nie wiem.

Wierzyłam, że Federacja pomoże mi wywalczyć moje prawo, wierzyłam w „Gazetę Wyborczą”. Aż zrozumiałam, że nikt i nic mi nie pomoże. Bo w Polsce rządzą bogaci, których stać na dzieci. Chcą, żeby Polska powiększała się kosztem zdrowia innych. Matki niech rodzą, wychowują, a jak nie mogą wychować, niech oddadzą.

Wcale nie zastanawiają się, co to znaczy.

Anna

JEDNAK WIEDZA TO ZA MAŁO

Gdy rozpoczynałam życie seksualne jako nastolatka, miałam obszerną i – jak teraz stwierdzam – całkiem rzetelną wiedzę dotyczącą ciąży i sposobów jej zapobiegania. Zdobyłam ją czytając wszystko, co na ten temat wpadło mi w rękę, głównie kolorowe czasopisma. W szkole coś na kształt prawdziwej lekcji wychowania seksualnego odbyło się dopiero pod koniec liceum. Dla dziewczyn zorganizowano „wycieczkę” do gabinetu ginekologicznego, gdzie mogłyśmy zapoznać się z jego wyposażeniem, działaniem aparatu do USG oraz porozmawiać z lekarzem na temat współżycia seksualnego i antykoncepcji. Ja w tym czasie byłam już dawno po zabiegu przerwania ciąży, a badań USG przeszłam kilkanaście.

Choć wiedzę na temat seksu zdobyłam odpowiednio wcześniej, ciekawość pozostała, więc gdy poznałam chłopaka, który zapragnął „rozwinąć naszą znajomość”, nie wahałam się zbyt długo. Używaliśmy prezerwatyw, ale było to dość kosztowne i uciążliwe. Raz zdarzyło się nawet, że prezerwatywa pękła, więc wybrałam się do ginekologa po pigułki.

Miała to być moja druga wizyta u ginekologa. Pierwszą odbyłam z mamą zaniepokojoną bólami w podbrzuszu, jakie miałam od czasu pierwszej miesiączki. Poszłyśmy wtedy do specjalnej poradni dla dziewcząt. Wszystko odbyło się w dobrej atmosferze, więc nie obawiałam się samodzielnej wizyty w sprawie antykoncepcji. Okazało się jednak, że tamten gabinet został zlikwidowany i musiałam pójść do mojej przychodni rejonowej.

Pewna siebie wkroczyłam do gabinetu i wyłuszczyłam cel mojej wizyty. W chwilę później żałowałam, że się tam znalazłam, pani doktor obrzuciła mnie bowiem stękiem wyzwisk. Dowiedziałam się, że jestem ładacznicą, upadłą moralnie gówniarą i że jeśli chcę coś załatwić, mam przyjść z matką. Zapłakana uciekłam stamtąd, obiecując sobie nigdy więcej nie iść do ginekologa.

Przyjście z którymś z rodziców nie wchodziło w grę. Matka jest katoliczką, osobą o bardzo tradycyjnych poglądach na sprawy seksu i antykoncepcji. Nigdy nie próbowała rozmawiać ze mną na ten temat, mimo iż wiedziała, że chodzę na randki, a mój trudny charakter i rozchwianie emocjonalne kazały mieć niemal pewność, że szybko pozbędę się dziewictwa. Na moje pytanie, do czego służą podpaski z reklamy telewizyjnej, otrzymałam ledwo wykształconą odpowiedź o krwi wychodzącej tą samą drogą – „w dole brzucha” – co dziecko przy porodzie. Nie, nie mogłam prosić mamy, żeby ze mną poszła po pigułki! Poza aresztem domowym nic bym nie zyskała. Do ojca też bałam się z tym zwracać, bo spodziewałam się, że mógłby na przykład uderzyć mnie w twarz.

Swoją niefortunną wizytę u lekarza zachowałam w tajemnicy i pozostałam przy prezerwatywach. Miesiączkowałam już regularnie i nauczyłam się rozpoznawać, kiedy owuluje. Czasami odważałam się na stosunek przerywany, kiedy wiedziałam, że jest bezpiecznie, i nigdy mnie ta metoda nie zawiodła. Wpadłam przez pękniętą prezerwatywę.

Dokładnie wiedziałam, kiedy to się stało. Nie wątpiłam ani przez chwilę, że zajdę w ciążę. Całą sobą WIEDZIAŁAM, że to się właśnie dzieje, ale wiedziałam też, że jeszcze mam czas, by przeciwdziałać.

O Postinorze słyszałam już dawno. Następnego dnia znów siedziałam w tej samej poczekalni co parę lat wcześniej. Nie wiem, czemu nie poszłam do innej przychodni, chyba myślałam, że obowiązuje rejonizacja. Zresztą miałam nadzieję, że Postinor zdobędę bez trudu, nie wyobrażałam sobie odmowy w podbramkowej sytuacji. Byłam już starsza, trudno mnie było nazwać gówniarą, obiecałam sobie trzymać emocje na wodzy i nie przejmować się obelgami. Wiedziałam, że Postinor istnieje, sprawdziłam, że jest w aptece, i moim celem było go zdobyć.

W gabinecie urzędowało wciąż to samo babsko, które wpadło we wściekłość, gdy usłyszało moje żądanie. „Środków poronnych nie przepisuję!” – usłyszałam i zrozumiałam, że przegrałam batalię. Gdybym wtedy wiedziała, że mam 72, a nie 24 godziny na wzięcie leku, może spróbowałabym gdzie indziej, ale to było 4 lata temu i wtedy mówiono o jednej dobie, nie o trzech.

Zaczęło się czekanie na okres. Zupełnie bez przekonania odliczałam dni do daty, kiedy miał się zacząć. Termin minął. Powiedziałam chłopakowi, że jestem pewna co do ciąży, a on na to, że to nie jego, a przecież nigdy dotąd nie kwestionował mojej wierności!

Czas mijał, a mnie ogarniało coraz większe przerażenie. Nie potrafiłam już myśleć o niczym, jak tylko o tym, co się dzieje w moim brzuchu i jak się od tego uwolnić.

Z byle powodu zalewałam się łzami. Nie wiedziałam, co się dzieje na lekcjach. Z dnia na dzień mój stan się pogarszał, nie byłam zdolna funkcjonować normalnie, nerwy miałam w strzępach, nie mogłam jeść, traciłam na wadze.

W szkole dostałam ataku hysterii. Omal nie zemdlałam, prawie nie mogłam oddychać. Na kozetce pielęgniarki szkolnej zanosilałam się od płaczu, nie mogąc się opanować. Nikomu nie powiedziałam, co mi jest, w obawie, że mnie wyrzucą ze szkoły. Wysłano mnie do lekarza w towarzystwie przyjaciółki z klasy. W poczekalni opanowałam nerwy na tyle, by gdy przyszła moja kolej, zrelacjonować całe wydarzenie, nie wspominając o ciąży. Zostałam rutynowo zbadana, zrobiono mi EKG. „To na tle nerwowym” – powiedziała lekarka, po czym cicho, zatroskanym tonem spytała, czy nie jestem w ciąży. Pamiętam ulgę, że ktoś okazał szczerze zainteresowanie i współczucie. Poczułam, że mogę w końcu pozbyć się ciężaru. Rozpłakałam się i przyznałam, że jestem w ciąży. Czy byłam u ginekologa? Nie i nie chcę iść. Wytłumaczyłam, dlaczego. Pani doktor uspokoiła mnie i dała wizytówkę lekarza, o którym powiedziała, że jest bardzo życzliwy pacjentkom. Pojechałam do niego potwierdzić mój stan. Znów płakałam.

Wiedziałam, że muszę pozbyć się tej ciąży. Robiłam wszystko, o czym wiedziałam, że może spowodować poronienie. Zamykałam się w łazience, nalewałam gorącą wodę do wanny, siedziałam w niej godzinami. Robiłam brzuszki, napelniałam wiadra wodą i podnosiłam, ile razy mogłam. Biłam się po brzuchu, przejrzałam wszystkie leki w apteczce i brałam te zabronione w czasie ciąży.

Myślałam z nienawiścią o płodzie, o tym, jak bezpiecznie siedzi sobie wewnątrz mnie, zamknięty w macicy ze szczelnie zamkniętą drogą dostępu. Byłam wściekła, że nie mogę się do niego dostać, wyrzucić stamtąd, że moje ciało tak go strzeże i pilnuje. Obmacywałam się po brzuchu próbując zgadnąć, w którym miejscu się ulokował, i rozmyślając, czy nie mogłabym dosięgnąć go drutem do robótek. Dziabnąć raz i uszkodzić, żeby sam wylazł. Zastanawiałam się, czy nie wstrzyknąć sobie czegoś, lecz nie miałam odwagi. Nienawidziłam wszystkiego, a najbardziej – siebie.

Później zaczęły się wymioty. Po powrocie ze szkoły padałam na łóżko, obok trzymałam wiaderko, matka patrzyła na mnie ze wstrętem i znęcała się psychicznie.

Odmówiła mi aborcji. „Powołaliście nowe życie, teraz masz obowiązek urodzić” mówiła. Pytała, czy wiem, jaki to ból dla kobiety stracić dziecko. Sama poroniła, do tego właśnie nawiązywała, ale nie chciała zrozumieć, że ja odczuwam inaczej. Straszyla mnie, że do końca życia będę nosić w sobie winę, że dziecko będzie mnie odwiedzać w snach. „Urodzisz i oddasz do adopcji”, zarządziła. (Boże, co ja urodzę po tych wszystkich środkach, legalnych i nielegalnych, którymi się napychałam, żeby spędzić płód?). „Skoro mam urodzić, to je zatrzymam – powiedziałam. – Albo będzie moje, albo go w ogóle nie będzie. Jak mogłabym je komuś oddać?”

Pewnie jednak i tak bym nie urodziła. Prędzej odebrałabym sobie życie. Myśl o samobójstwie zaczynała mnie bowiem prześladować.

Podczas któregoś z badań wykryto u mnie jakieś nieprawidłowości. Skierowano mnie do szpitala. Dowiedziałam się, że prawdopodobnie mam ciążę pozamaciczną. Usuną mi!!! Radość nie do opisania. Z niecierpliwością czekałam na badanie USG, które miało być wykonane następnego dnia.

Rano byłam świadkiem, jak na oddział przyjmowano nową pacjentkę. Była po poronieniu i miała mieć zabieg wyłyżeczkowania. Ordynator przybiegł na naszą salę i krzyczał na tę dziewczynę, że jest cwana, bo chciała się za darmo wyczyścić. Widocznie myślał, że próbowała sama wywołać aborcję i przyszła na dokończenie zabiegu. Możliwe, że tak było. Dla mnie jednak było jasne, że to ta „darmowość” tak bardzo ordynatora zabolala.

Po tym zdarzeniu poszłam na USG. Badający mnie lekarz patrzył na ekran, coś mrucał pod nosem, ale mnie nie chciał nic pokazać ani powiedzieć. Dopiero gdy moja mama przyszła z wizytą, ujawniono wyniki skanu. Miałam po prostu wielką cystę na jajniku, a płód był w macicy. Wypisałam się na własne żądanie.

W tym czasie wrócił z zagranicy mój tata. Obiecał mi pomóc. Matka pozostawiła jemu decyzję. Poszliśmy razem do lekarza, jego znajomego, który miał zrobić mi zabieg za niską cenę. Trzy dni wcześniej zrobiłam USG, był to 7-8 tydzień

i pęcherzyk ciążowy miał średnicę 2,2 cm. Śmiesznie mało, zważywszy na całe zamieszanie wokół „życia poczętego”. Lekarz spytał, czy jestem pewna, że chcę usunąć i czy wiem, że mogę przez to stać się bezpłodna. Było mi wszystko jedno, byle już się tego pozbyć.

Następnego dnia rano stawiałam się w klinice. Dostałam miejscowe znieczulenie, mimo którego czułam ból, był to jednak ból niosący wyzwolenie. Po zabiegu pozwolono mi odpocząć chwilę na kozetce, ale zaraz musiałam iść. Szczęśliwa, choć obolała, gorąco dziękowałam lekarzowi za to, że mnie ocalił, że oddał mi z powrotem moje życie. Kazał mi przyjść ponownie po dwóch tygodniach do kontroli i po „jakaś sensowną antykoncepcję”, ale tym zajął się już mój nowy ginekolog.

Renata

MNIE SIĘ NA SZCZĘŚCIE UDAŁO

Moja historia zapewne nie różni się od innych historii wielu polskich kobiet starających się usunąć ciążę. Może z kilkoma wyjątkami – mieszkam w dużym mieście, nie jestem bezrobotna, mam przyjaciół, którzy nie tylko pożyczą mi pieniądze w razie potrzeby, ale również wesprą w zamiarze przerwania ciąży i zapewnią psychologiczne wsparcie osobie, która zdając sobie sprawę z tego, iż współpracuje przy łamaniu prawa, woli to, niż co innego.

Fakt, że zaszłam w ciążę, zawdzięczam w dużej mierze lekarzowi. Pytany o szczegóły działania tabletek antykoncepcyjnych, które mi zapisał, nie odpowiadał precyzyjnie, i zapewne stąd nie udało mi się uniknąć zapłodnienia. Pamiętam jego nonszalaną, rozbieżności w udzielanych na moje pytania odpowiedziach. Wiem, że nie jest człowiekiem złośliwym, i że jego zachowanie z pewnością nie było podyktowane nieżyczliwością wobec mnie czy kobiet w ogóle. Uważam jednak, że powinien przejść jakiś kurs informowania kobiet o antykoncepcji, tak by mimowolnie nie wprowadzać ich w błąd. Uważam też, że powinien być bardziej zaangażować się w moją historię. Pomimo, iż mam sporo edukacyjnego zacięcia, nie zamierzam go w tym zakresie pouczać. Przypuszczam zresztą, że nie przyjąłby moich uwag i nie zmieniłby swojego postępowania. Co innego, gdyby światłych uwag udzielał mu Konsultant Krajowy czy ktoś taki. Wtedy z pewnością potraktowałby poważnie konieczność zmiany strategii informowania kobiet o antykoncepcji.

Jestem osobą palącą, zdarzają mi się też dość często rozmaite kłopoty żołądkowe. Mojemu ginekologowi niestety nie przyszło do głowy poinformowanie mnie o tym, że palenie osłabia działanie środków antykoncepcyjnych i wzmacnia ryzyko chorób zakrzepowych, natomiast niektóre antybiotyki po prostu niwelują działanie antykoncepcji. Nie zaproponował mi innych metod zapobiegania ciąży, jak na przykład wchodzące właśnie na polski rynek plastrów antykoncepcyjnych.

Płacąc te 1500 zł. za zabieg myślałam, prawdę mówiąc przede wszystkim o ekonomicznych nierównościach między kobietami i o wielkiej niesprawiedliwości, jaką jest zmuszanie kobiet do płacenia takich wygórowanych kwot za niezbyt skomplikowany zabieg. Wiedziałam, że sama operacja trwa 15 minut, że pozostałe 30 minut to czas wchodzenia w narkozę i wychodzenia z niej. Wiedziałam, że obsługujące mnie lekarki to dobre specjalistki, że zaraz po zabiegu przyjdzie po mnie mój chłopak, który przyniesie mi kanapki, odda większość pieniędzy, które zapłaciłam, i będzie dla mnie czuły i opiekuńczy po całej sprawie. Więc wyobrażałam sobie te tysiące kobiet i dziewcząt, które takiego wsparcia nie mają, i to było dla mnie druzgocące. Tysiące kobiet, których faceci nawet nie dowiadują

się o zabiegu, które nie mają pieniędzy i zdobywają je w przedziwny sposób, kobiet, które nie mogą liczyć na spokojną rozmowę o całej sprawie. Myślałam też o tych, nielicznych na szczęście, przypadkach kobiet "przyłapanych na aborcji". O psychologicznej traumie, jaka w ten sposób staje się ich udziałem. Jak wspominałam, zabieg wraz z narkoz trwał około 45 minut. Pamiętam lekkie halucynacje, w jakich wybudzałam się z narkozy. Pamiętam, jak budząc się pytałam wystraszone lekarki, czy paliły kiedyś konopie, bo ta narkoza jest jeszcze lepsza. Pamiętam, że mówiły, że nie.

Pierwsze dwa - trzy dni po zabiegu byłam trochę słaba, może bardziej z wrazenia niż z racji jakichś szczególnych fizjologicznych dolegliwości. Nie miałam potem problemów zdrowotnych ani powikłań. Kontrole ginekologiczne nie wykazały żadnych zmian, więc moją aborcję uważam za bardzo udaną. Już trzy dni po zabiegu leciałam samolotem – też nie było z tym problemu.

Na koniec jedna ważna sprawa: moim zdaniem nie istnieje coś takiego, jak syndrom postaborcyjny. Cała mitologia dramatu kobiety, która rzekomo zaczyna śnić o nienarodzonym dziecku, mieć wyrzuty sumienia i tak dalej, to, jak pokazuje doświadczenie – zwykły wymysł.

Oczywiście w kulturach wysoce represyjnych, do jakich niewątpliwie należy Polska, kobiety mogą mieć wyrzuty sumienia, sny, a nawet halucynacje na temat nienarodzonych dzieci. Znani badacze kultury wyraźnie wskazują związki między normami, zakazami i represjami, a obsesjami, jakie zaczynają nawiedzać ludzi przez lata stresowanych zakazami. Ja nie doświadczyłam niczego takiego. Oczywiście wołałabym zażyć tabletki wczesnoporonne – są one tańsze i stanowią mniejszą ingerencję w organizm – niestety nie są dostępne w Polsce. Wołałabym, żeby takie zabiegi, jak mój, były legalne. Nic nie usprawiedliwia zmuszania kobiet do ponoszenia olbrzymich finansowych kosztów z powodu braku właściwej informacji o antykoncepcji. Restrykcyjna ustawa antyaborcyjna dzieli kobiety na te, które stać, i te, których nie stać na zabieg. Uważam, że to forma dyskryminacji nie tylko ze względu na płeć, ale również na status materialny.

Joanna

HISTORIA JAKICH WIELE

Jestem 34-letnią matką dwóch synów. Gdy starszy miał siedem, a młodszy trzy lata, po raz trzeci zaszłam w ciążę. Nie chciałam rodzić trzeciego dziecka, tym bardziej że z mężem byliśmy właśnie w trakcie rozmów o rozwodzie. Wspólnie podjęliśmy decyzję o aborcji. Rozmawialiśmy o tym otwarcie, uczciwie rozważając wszystkie „za” i „przeciw”. Mąż nie uchylał się od odpowiedzialności za spłodzenie trzeciego dziecka.

Natychmiast skontaktowałam się z koleżankami, które miały kontakt z lekarzami, którzy dokonują zabiegu aborcji. Telefon zdobyłam już następnego dnia. Zadzwoiłam. Potem wszystko poszło równie szybko. Umówiłam się na wizytę kilka dni później. Lekarz mnie zbadał, ustalił wiek ciąży i zapytał, z czym przychodzę. Wtedy powiedziałam mu, że jestem zainteresowana zabiegiem aborcji. Lekarz wyjął kartkę, zapisał na niej kwotę – 3000 zł. Ja skinęłam głową. Ustaliliśmy termin odległy o kolejne kilka dni.

Przyjechaliśmy razem z mężem. Lekarz czekał w towarzystwie pielęgniarki i anestezjologa. Wszyscy byli przemili i niezwykle profesjonalni. Dostałam narkozę i straciłam świadomość, jak się później okazało, na kilkanaście minut. Dostałam instrukcje, co dalej zrobić i jak dbać o higienę po zabiegu. Wróciliśmy do domu.

Przed zabiegiem bardzo martwiłam się, że jestem w ciąży. I bezpośrednio wpływało to na moje samopoczucie. Nieustannie miałam wrażenie, że w moim wnętrzu zalęgł się nowotwór, który rośnie i mnie pożera. Po zabiegu poczułam wielką ulgę. Czułam wręcz euforię, która stopniowo przechodziła w spokój i zadowolenie po podjęciu dobrej decyzji. A co do słynnej traumy po zabiegu, to zapewniam, że po wyrwaniu zęba mądrości miałam większą!

Magda

DZIWNA NA WŁASNE ŻYCZENIE

Chyba wszystkim kobietom, które biorą pigułki, zdarzyła się taka sytuacja. Dzień, w którym mam zacząć kolejne opakowanie, spokojnie otwieram szafkę, aby wziąć kolejny listek, a tu... okazuje się, że znowu zapomniałam kupić. Gorączkowe poszukiwania... może jakaś recepta się znajdzie. NIC. Kompletna paranoja... patrzę na zegarek... jak się pośpieszę, to zdążę do lekarki i do apteki. Zwykle się udawało, niestety nie tym razem.

Zadyszana wbiegłam do przychodni. Moją panią doktor zastępuje ktoś inny – taką informację uzyskałam w recepcji. No trudno – myślę sobie – na szczęście to nie są badania, tylko wypisanie recepty. Żadnych problemów nie powinno być, przecież w karcie mam wpisane zarówno aktualne badania, jak i to, że pigułki łykam regularnie. Tylko żeby nie było zbyt dużej kolejki, bo mogę nie zdążyć do apteki.

Na szczęście okazało się, że niewiele osób czeka w kolejce przede mną. Spokojnie rozsiadłam się w fotelu i czekałam na swoją kolej. W gabinecie zastałam młodą lekarkę. ...Uf, na szczęście nie jakiś okropny babsztyl – pomyślałam. Spieszyło mi się, więc już w drzwiach powiedziałam, że ja tylko na chwilę, że żadnych badań nie potrzebuję i proszę tylko o receptę, bo zaraz zamykają apteki, a ja dziś powinnam już wziąć. Lekarka przyglądała mi się zdziwiona przez chwilę, otworzyła kartę i ku mojemu zdziwieniu powiedziała: „Nie mogę przepisać”. Zaraz, zaraz – pomyślałam i ze zdziwieniem zapytałam dlaczego. Po krótkiej chwili pani doktor stwierdziła: „Nie ma pani aktualnych badań, a hormony niszczą wątrobę i powinna się najpierw pacjentka przebadać, a następnie zacząć brać”. Chwila mojego zastanowienia i pytanie: jak to, przecież krew pobieraną miałam dwa miesiące temu i wątrobowe badania przy tej okazji też zrobiłam. Moje tłumaczenie nie przyniosło jednak oczekiwanego efektu. Pani doktor postanowiła uświadomić mi, że skoro nie biorę hormonów (bo przecież ona na 100% mi ich nie przepisze), mogę się zabezpieczać inaczej. Ja jednak nie chciałam ustąpić i po raz kolejny zapytałam o receptę. Lekarka była już chyba lekko podenerwowana, że nic z jej argumentacji do mnie nie przemawiała. Jakoś nie chciało mi się liczyć dni płodnych, badać śluzu ani o dziwo stosować prezerwatyw. Chciałam tabletki!!!! Od pani doktor usłyszałam, że „chyba jestem dziwna, że na własne życzenie chcę sobie zdrowie rozwalać, a istnieje tyle innych skutecznych i wygodnych metod antykoncepcyjnych, które są bardziej zgodne z naturą”. Nadal stanowczo oponowałam, choć powoli zaczynałam czuć, że jestem coraz bardziej wściekła i że recepty to ja nie dostanę. Ale co się z głupią babą pokłóć, to moje.

Lekarka już była bardzo zdenerwowana i stwierdziła: „Ciężka pacjentka. Nic do niej nie dociera”. Teraz ja już nie wytrzymałam i po raz kolejny, choć tym razem

wzburzone tonem zapytałam: przepisze mi pani Mercilon czy nie? Na co usłyszałam odpowiedź: „Ja takich rzeczy nie przepisuje i po to to pacjentka nie powinna przychodzić”. Wściekła wybiegłam z jej gabinetu trzaskając drzwiami i chyba... choć już tego nie pamiętam, coś jeszcze mało miłego pod nosem wymamrotałam.

Mam nadzieję, że niewiele z nas spotkało się z taką sytuacją. Dla mnie jest to ciemnogród i pewnie warto by było coś z tym dalej zrobić... ale czy warto? Pewnie tak. Przeraża mnie jednak wizja użerania się z innymi lekarzami, i chyba tak do końca nie wiem, jak się za to zabrać. Przychodnia nie informowała mnie, że nie wszyscy lekarze przepisują antykoncepcję, ale... chyba czuję się bardzo bezradna. Znam moje prawa, ale chyba z braku czasu i z przekonania, że tak naprawdę nic nie jestem w stanie tej „pani doktor” udowodnić, nie podjęłam żadnych działań. A może byłoby warto. Można by stworzyć taką czarną listę, na którą wpisywani byłiby lekarze, którzy nie chcą przepisywać LEGALNYCH środków antykoncepcyjnych. Przecież oni za coś biorą nasze pieniądze. Dziś, gdy przypominam sobie tę sytuację, zachowałabym się pewnie inaczej, ale...

Katarzyna Wasilewska

Z MYŚLĄ O NICH PRZERYWAM MILCZENIE

Długo nie mogłam zrozumieć, w jakim celu mam napisać o swojej aborcji. Jest to przecież moja prywatna sprawa, jedna z wielu świadomie podjętych decyzji, które miały istotny wpływ na moje życie.

Zawsze wiedziałam, że to ja sama kształtuję swoje życie i że we wszystkich sprawach mnie dotyczących mam prawo podejmować decyzję. I to również ja mam prawo wybierać osoby, które chcę prosić o pomoc przy podejmowaniu decyzji trudnych. Nie obowiązują mnie obiegowe opinie instytucji, które uzurpują sobie prawo do pouczania innych.

W taki właśnie sposób podjęłam decyzję o wyborze szkoły ogólnokształcącej, kierunku studiów, o małżeństwie, o rodzaju ślubu. Moi rodzice, mniej lub bardziej entuzjastycznie, ale zawsze akceptowali te wybory.

Drażniło mnie, że organizacje kobiece ciągle mówią o aborcji, molestowaniu, maltretowaniu, utrwalając w społeczeństwie obraz kobiet, którym trzeba pomagać, bo same sobie nie poradzą. Wydawało mi się, że organizacje przedstawiając taki obraz, starają się przede wszystkim uzasadnić własne istnienie.

Zachęcona przez córkę, aby przyjrzeć się tym zagadnieniom uważniej, odkryłam, że żyłam w innych czasach.

Rozpoczyłam dorosłe życie, które chciałam wieść świadomie planując jego etapy. Rok wcześniej skończyłam studia farmaceutyczne, podjęłam pierwszą pracę w aptece, wyszłam za męża. Czekaliśmy na własne mieszkanie, co wydawało się nam zupełnie realne, bo dużo wcześniej załatwiliśmy w Spółdzielni Mieszkaniowej wszystkie związane z tym formalności.

Obawiałam się nieplanowanej ciąży i dlatego zapobiegałam jej dostępnymi metodami. Kiedy te metody zawiodły i okazało się, że jestem w ciąży, było to dla mnie bardzo przykre doświadczenie, o którym chciałam jak najszybciej zapomnieć. Uważałam, że to jest moja osobista porażka. Pojawił się niepokój, że mimo profesjonalnej ostrożności takie zdarzenie może mieć miejsce.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że poddam się zabiegowi. Mieszkałam wtedy z mężem u moich rodziców w dwupokojowym mieszkaniu w amfiladzie, a przydział własnego przesunął się na czas nieokreślony.

Decyzję o aborcji podejmowałam na początku lat siedemdziesiątych. Prawo dopuszczało wówczas wykonanie zabiegu przerwania ciąży z tzw. wskazań społecznych. Nie znam jednak kobiet, które decydowały się na zabieg w państwowych placówkach służby zdrowia. Myślę, że obawiały się braku

subtelności przy omawianiu ich przypadku na wspólnej sali. Ponadto pobyt w szpitalu trwałby zapewne kilka dni – i to bynajmniej nie ze względu na dobro pacjentki, lecz z powodów natury organizacyjnej.

Umówiłam się na płatny zabieg w prywatnym gabinecie znajomej lekarki. Nie pamiętam, jaka była jego cena, ale wiem, że spowodowała poważny uszczerbek w naszym budżecie. Byłam umówiona na konkretną godzinę i zaskoczył mnie fakt, że zastałam trzy inne panie oczekujące w kolejce. Uświadomiłam sobie, że ten „problem” pojawia się częściej, niż wcześniej sądziłam. Nie rozmawialiśmy ze sobą, pogrążone we własnych myślach. Okazało się, że jako pracownik służby zdrowia będę przyjęta poza kolejką.

Pamiętam, że zabieg odbywał się w pomieszczeniu, które sprawiało wrażenie, że spełnia różne funkcje. Zapewne pokój mieszkalny w niektóre dni tygodnia zmieniał się w gabinet lekarski wyposażony w dosyć zużyty fotel ginekologiczny.

Zabieg odbywał się w narkozie. Po obudzeniu, trochę obolała, ale z uczuciem ogromnej ulgi, zaopatrzona w recepty na środki przeciwbólowe i witaminę K udałam się do domu.

Następnego dnia pomaszerowałam do pracy.

To wydarzenie ugruntowało we mnie wiarę, że poradzę sobie w każdej sytuacji, ale również wzmocniło potrzebę poszukiwania skuteczniejszych metod zapobiegania ciąży. Szczęśliwie w aptece pojawił się Femigen, pierwszy krajowy środek antykoncepcyjny. Wkrótce moja siostra mieszkająca w Londynie zaczęła dostarczać mi środki zagraniczne.

Kilkadziesiąt lat później pojawiły się publikacje opisujące stan „syndromu poaborcyjnego”, który jest niebezpieczny dla zdrowia. A najgroźniejszy wówczas, gdy się go wcale nie doświadcza. Jest to dla mnie oczywistym absurdem.

Dopiero inne doświadczenia z mojego życia pozwoliły mi zrozumieć ten mechanizm kreowania „syndromów”. Przez kilka lat opiekowałam się moją mamą, do samej jej śmierci, która nastąpiła w jej własnym domu, w obecności najbliższych osób. Dopiero wtedy, u schyłku swego życia, mama, osoba głęboko wierząca, ogromnie przerażona powiedziała mi, że ma śmiertelny grzech na sumieniu, bo usunęła ciążę. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego, kiedy zaraz po skrobance powiedziała o tym księdzu na spowiedzi, nie wywołało to żadnej reakcji z jego strony. Teraz z ust przedstawicieli Kościoła słyszała, że dokonała morderstwa „dziecka nienarodzonego” i czuła na sobie piętno dzieciobójczyni.

W pierwszej chwili myślałam, aby powiedzieć mamie, że ja też miałam zabieg i wcale nie mam takiego odczucia. Nie zrobiłam tego jednak w obawie, że będzie się obwiniać również za grzech, który w przeświadczeniu jej Kościoła popełniła córka. Wydaje mi się, że zdołałam ją nieco pocieszyć, kiedy powiedziałam, że prawo do oceny ma tylko jej „miłosierny i sprawiedliwy Bóg” i nikomu innemu nie wolno uzurpować sobie tego prawa. Do dzisiaj czuję niechęć i nie potrafię wybaczyć ludziom, którzy wmówili mojej biednej, schorowanej mamie winę i wprowadzili ją w stan przerażenia.

Wtedy też zrozumiałam, jak przy pomocy sprytnych metod socjotechnicznych, w imię przez siebie samych zdefiniowanych „wyższych celów”, można pognębić człowieka i wmówić mu odczucia, których sam z siebie nigdy by nie doświadczył.

To również dlatego postanowiłam zabrać głos w sprawie dostępu do aborcji.

Z własnego doświadczenia wiem, że w niektórych sytuacjach życiowych jest to wentyl bezpieczeństwa, pozwalający optymistycznie patrzeć w przyszłość i czuć się odpowiedzialną za własne wybory. Nie zgadzam się z opinią, że myślące kobiety sięgały po ten środek zbyt łatwo. W moim środowisku miało to miejsce tylko wtedy, kiedy zawiodła dostępna antykoncepcja.

Nie mam wątpliwości, że w obecnych czasach podjęłabym taką samą decyzję. Ja z jej realizacją nie miałabym problemu. Moja sytuacja materialna pozwoliłaby na wybór najbezpieczniejszej metody. Ale co mają zrobić kobiety, dla których koszty zabiegów są nieosiągalne?

To z myślą o nich przerywam milczenie.

Maria Chańska

Z PERSPEKTYWY CZASU

Na imię mam Magdalena. Mam 64 lata. Wyszłam za mąż w wieku lat 20. Byłam bardzo zakochana w swoim mężu, młodym doktorancie na wyższej uczelni. Byłam jego studentką. Imponował mi wiedzą, pracowitością i tymi cechami, na które zwraca uwagę każda młoda dziewczyna myśląca o zamążpójściu.

Mąż pochodził z tradycyjnej, katolickiej rodziny. Ja zaś byłam osobą niewierzącą. Wraziłam zgodę na ślub kościelny, gdyż tego rodzaju ustępstwo wobec ukochanej osoby wydawało mi się rzeczą normalną.

Na trzecim roku studiów urodziłam pierwszą córkę. Ciąża była dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Kalendarzyk małżeński nigdy nie zdawał egzaminu w wypadku kobiet z naszej rodziny. Może dlatego moja babcia zmarła w wyniku krwotoku po wizycie u „babki”. Po urodzeniu się dziecka było nam bardzo ciężko. Mąż pracował jako asystent i zarabiał grosze. Dziecko chowało się pomiędzy biurkami w hotelu asystenckim.

Ukończyłam studia z bardzo dobrym wynikiem. Zostałam zatrudniona na uczelni. Mąż zdobywał dalsze tytuły naukowe, a ja pracowałam nad doktoratem.

Trzy lata po urodzeniu pierwszej córki ponownie zaszłam w ciążę. Niczego nie podejrzewałam. Nieregularne miesiączki były dla mnie sprawą normalną. Wyrok: 10 tygodni. Próbowałam rozmawiać z mężem. Na moją propozycję, abyśmy potraktowali naszą wpadkę – przeciwieństwo wspólną sprawę – w sposób normalny, ludzki, tak jak robią to tysiące żon i mężów na całym świecie, zareagował niezwykle nerwowo: „To ty chcesz uśmiercić MOJE dziecko?!”

Nie miałam ochoty na dalsze pogarszanie naszych relacji. Powoli, lecz systematycznie oddalaliśmy się od siebie. Mój rozpoczęty doktorat musiał poczekać. Czuję się nieszczęśliwa. Bardzo źle znosiłam okres ciąży. Szczerze zazdrościłam koleżankom, które bez przeszkód mogły korzystać z prawa do aborcji. Wydawały mi się wolne i szczęśliwe. W moim środowisku nie znałam ani jednej kobiety, która nie byłaby na zabiegu. Mówiło się o tym otwarcie. Żyły skromnie, lecz w sprawach seksu czuły się bezpieczne. Bez środków antykoncepcyjnych, ale spokojne, że wpadka nie będzie końcem świata. Często nawet nie rozmawiały o tych sprawach z partnerami, lecz same podejmowały decyzje. Ja chciałam być lojalna wobec swojego męża.

Niestety, on nie był lojalny wobec mnie. Zdradzał mnie. I nie ma znaczenia, czy były to jego studentki, czy nasze wspólne dalsze znajome. Nadeszła ostatnia faza naszego związku. Okres gwałtów małżeńskich.

Zrezygnowałam ze wszystkich swoich zawodowych ambicji. Córki poszły do żłobka i przedszkola. Ja do pracy w szkole średniej. Mąż poszybował w świat na konferencje, sympozja, zagraniczne stypendia naukowe. Wpadał do domu na krótko, jak gdyby z wizytą. Wspólne pożycie małżeńskie – ja jak kłoda, on odprężony. „Dlaczego zachowujesz się jak worek na spermę?” I jeszcze rzucane na co dzień głupie uwagi: „No tak, kobiety nie są cywilizacyjno-twórcze. Jak widzę twoje humory, to dziękuję Stwórcy, że nie urodziłem się dziewczynką, lecz mężczyzną, to znaczy: człowiekiem. Ty chyba zawsze myślisz macicą, a cały Twój mózdzek znajduje się w małym staniku. Ale Kocham nasze córki. Chciałbym mieć jednak jeszcze syna. Dla Ciebie to żaden problem. Zaskakujesz przecież zawsze, kiedy nie trzeba”.

No i zaskoczyłam. Lecz tym razem wzięłam sprawy we własne ręce. Dojrzałam. Nie paliłam staników, nie nosiłam czerwonych pończoch, nie byłam rewolucyjną feministką w przepoconych rajstopach (jak określał to mój mąż). Na zabieg poszłam z doświadczoną koleżanką (właściwie one wszystkie były doświadczone).

Szpital, izba przyjęć. Pytanie pielęgniarki: „Jednodniówka?”. Odpowiadam, że nie rozumiem. „No, na skrobankę?”. Cóż za subtelność; odpowiadam, że tak. Mała wąska poczekalnia. Baby z siatkami. W siatkach trofea – to, co udało się upolować dla rodziny. Duszno. Niektóre popłakują. Inne rechocą.

Wchodzę. Pielęgniarka warta lekarki: „Pokaże wyniki! Rodziła? który to już raz? No to wskakuj!”. Wydawało mi się, że czuję wszystko. Zimne narzędzia w środku. Słyszę rozmowy. Mówię błagalnym głosem: boli! I słyszę odpowiedź: „Ma boleć! Trzeba wiedzieć, przed kim i kiedy rozkładać nogi”. Nie wierzę własnym uszom. Po chwili lekarka mięknie: „No, moja droga, nie wierz się tutaj, bo cię nigdy nie wyskrobię. A tam na korytarzu kolejka. Słabe te nasze środki znieczulające. Na Zachodzie... No, już kończę. Aha, nogi to trzymaj razem aż do następnej miesiączki, bo będzie zakażenie”. Spojrzałam jej przez ramię, świadomie albo i nie, i pomyślałam: To tylko tyle było we mnie. Jak małe kawałki wątróbki.

Ogromna ulga. Ból fizyczny spory, ale teraz myślę tylko o moich córeczkach. Zrobiłam to dla nich. I dla siebie. Jestem silniejsza, wolna, znam swoją wartość. Jestem człowiekiem.

Byłam bardzo wdzięczna mojej koleżance, która czekała na mnie pod drzwiami gabinetu. Ucałowała mnie i powiedziała: witaj w klubie.

Z mężem rozwiedliśmy się. Po pewnym czasie uświadomiłam sobie, że wcale nie jestem samotna. Miałam wiele koleżanek, bliskich i serdecznych, uczynnych kolegów. Byłam adorowana przez młodszych i starszych mężczyzn.

Córki dorastały, zmieniłam pracę. W pewnych okolicznościach pojawiły się środki antykoncepcyjne. Po cichu, dyskretnie cieszyłam się seksem z partnerami, których starannie dobieierałam. Córki to akceptowały.

Spotykałam się z młodszym ode mnie mężczyzną. Lubiliśmy przebywać w swoim towarzystwie. Cieszyłam się nim. Dawałam mu to, czego nie zaznał w domu

rodzinnym. Bardzo się szanowaliśmy. Imponowałam mu. Nie byłam jednak gotowa na małżeństwo, na długotrwały związek.

W zaskakujący – i może nierozsądny – sposób zaszłam w ciążę. Decyzję o jej usunięciu podjęłam natychmiast. Nauczona poprzednim doświadczeniem, starannie dobrałam sobie lekarza. (...) Na koniec powiedział: „Jesteś ginekologicznie czyściutka”. Tą aborcją cieszyłam się we wszystkich aspektach fizycznym i psychicznym. Koleżanka, która pożyczyła mi część pieniędzy na zabieg i zawiozła własnym samochodem, przywitała mnie bukietem róż. Doskonale się rozumiałyśmy.

Mając 38 lat urodziłam syna. Byłam zabezpieczona materialnie (spory spadek po bogatych, bezdzietnych krewnych), zdecydowałam się na samotne, ale bardzo świadome macierzyństwo. Bardzo chciałam przeżyć zaplanowaną ciążę. Do tej pory planowane były jedynie zabiegi aborcyjne. Zapytałam o zdanie swoje dorastające córki. Nie były zaskoczone i zaakceptowały moją decyzję. Czytałyśmy fachową literaturę, periodyki, analizowałyśmy etapy rozwoju zarodka i płodu. To był wspaniały okres w moim życiu. Urodził się piękny, zdrowy chłopczyk.

Jestem szczęśliwa, że dzięki aborcjom mogłam pokierować swoim życiem. Przeżyć zaplanowaną ciążę. Mam mądre i wykształcone dzieci, wolne od fundamentalistycznych przesądów. Dbałam o ich edukację, także seksualną. Weszły w dorosłe życie ze sporą wiedzą. Dziś mieszkamy w Szwecji, gdzie swobodny dostęp do dobrodziejstwa aborcji pozostaje ostatecznym wyjściem.

O dokonanych aborcjach należy mówić otwarcie. Należy dzielić się swoimi przeżyciami z osobami bliskimi. Takie rozmowy mogą pomóc kobietom, które przeżywają jakieś dylematy. Ja sama pomogłam kilku.

Mężczyźni, pozbawiając kobietę prawa do aborcji, sądzą, iż w ten sposób zachowują panowanie na nią, a określając ją jako „pozbawioną cech cywilizacyjno-twórczych” powodują, że będzie im poddana. Należy wyzwolić kobiety z tych mitów, z poczucia frustracji, jakie wywołują. Mamy tylko jedno życie. Chcemy się nim cieszyć.

Kobieta (również za sprawą aborcji) musi chronić swoje ciało, cieszyć się nim dla dobra swojego, posiadanych już dzieci, dla bliskich jej mężczyzn.

Magdalena

LEKARZ TYLKO PODEJRZEWAL

Mam 28 lat i dwie wspaniałe córki – starszą ośmioletnią Weronikę i młodszą Rozalkę. Rozalka urodziła się 8 stycznia 2004 r. bez kończyn, z chorobą fokomelią. Dotychczas nasze warunki były nie najgorsze, ale wszystko zmieniło się, gdy na świat przyszła Rozalka. Niczemu niewinna mała istotka. Przed zajściem w ciążę długo szukałam pracy i w końcu ją znalazłam. Potem, gdy pracowaliśmy oboje, ja i mój mąż, nasza sytuacja była dobra. Ale tak było zaledwie przez dwa miesiące, bo pech chciał, że znów zaszłam w ciążę. Ciąża co prawda była nieplanowana, ale cała nasza trójka bardzo się nią cieszyła. Największą radość miała Weronika, która już od dawna wspominała o rodzeństwie.

W czasie ciąży byłam pod opieką specjalisty ginekologa położnika przyjmującego w gabinecie NZOZ (niepublicznego zakładu opieki zdrowotnej). Podczas pierwszej wizyty, która miała miejsce w ósmym tygodniu ciąży, lekarz zrobił mi USG. W trakcie badań nie zauważył nic niepokojącego. Po kolejnym badaniu USG, które zostało przeprowadzone trzy miesiące później, lekarz nadal uważał, że moje dziecko rozwija się prawidłowo. Podczas ostatniego badania chciałam poznać płeć dziecka, ale lekarz powiedział mi, że odwrócone jest pleckami i on nic nie może zobaczyć. Dodał również patrząc w monitor: „gigant to to nie będzie”. To USG trwało znacznie dłużej niż poprzednie, więc zapytałam, czy z dzieckiem wszystko w porządku. Lekarz stwierdził, że rozwija się prawidłowo. Częste wizyty w gabinecie dawały mi pewność, że jesteśmy pod dobrą opieką. Zresztą miałam zaufanie do swojego lekarza. Byłam jego pacjentką przez kilka lat i nigdy nie miałam powodu się skarżyć – aż do chwili porodu w szpitalu powiatowym. Sam poród przebiegał dobrze aż do momentu przyjścia na świat Rozalki. Gdy się urodziła, zapadła grobowa cisza. Spojrzałam na moje dziecko. Chciałam zobaczyć, czy urodziłam chłopca, czy dziewczynkę – wcześniej lekarz mi przecież tego nie powiedział. Zobaczyłam niedorozwiniętą rączkę. Serce mi stanęło. Myślałam, że to koniec niespodzianek, że wiem już wszystko, ale zaraz potem lekarze powiedzieli mi, że dziecko nie ma kończyn. Proszę mi wierzyć – w ciągu tych kilku sekund ubyło mi chyba kilka lat życia. Musiałam być jednak silna – dla niej i dla jej starszej siostry.

Rozalka urodziła się bez dolnych kończyn, z kikutem lewej rączki i z częściowo niedorozwiniętą prawą (teraz wiem, że ta niedorozwinięta rączka jest jej skarbem).

Lekarz prowadzący moją ciążę nie zauważył lub nie chciał zauważyć, że płód rozwija się nieprawidłowo. Jaki był więc cel badań USG, które przeprowadzał? Nie mogę zrozumieć, dlaczego lekarz, do którego miałam pełne zaufanie, zlekceważył mnie i stan zdrowia mojego dziecka. Dlaczego nic mi nie powiedział?!

Gdy na drugi dzień po porodzie mąż poszedł do niego i kazał sobie odczytać moją dokumentację, lekarz dalej twierdził, że wszystko było w porządku. Lecz kiedy mąż przedstawił mu fakty, powiedział, że to właśnie podejrzewał. Uważamy, że jako rodzice mieliśmy prawo wiedzieć o tych jego podejrzaniach. Nie miał prawa zatajać przed nami tak ważnych informacji dotyczących naszej córeczki. Mieliśmy przecież prawo przygotować się do przyjęcia dziecka tak oczekiwanego i jednocześnie tak innego od reszty społeczeństwa. Nie tylko my nie byliśmy przygotowani, ale również lekarze w szpitalu. Oni też o niczym nie wiedzieli, no bo i skąd mieli wiedzieć. Nie mogę zrozumieć, dlaczego lekarz prowadzący moją ciążę poprzestał na podejrzaniach. Miał przecież do dyspozycji taki dobry sprzęt oraz możliwość konsultacji z innymi specjalistami. Nic jednak nie zrobił, by potwierdzić lub rozwiązać swoje podejrzaniach. Nie udzielił informacji nam – rodzicom, tym samym traktując nas, jakbyśmy byli osobami najmniej uprawnionymi do tego, żeby wiedzieć, z jakimi wadami urodzi się nasze dziecko. Uznał zapewne, że w końcu i tak się dowiemy, a on przynajmniej uniknie przekazywania niemiłych informacji.

Nie przekazując nam informacji lekarz pozbawił nas prawa i możliwości zadecydowania o losach ciąży, w tym także prawa do tego, żebyśmy świadomie mogli przyjąć dziecko na świat. Myślę, że gdybyśmy wcześniej poznali prawdę, przygotowalibyśmy się na to, co nas spotkało. Wcześniej dowiedzielibyśmy się o wielu istotnych problemach dotyczących naszego nowo narodzonego dziecka. Wiedziałabym na przykład, że Rozalkę trzeba ubierać lżej, bo krew w pozbawionym kończyn ciałku krąży szybciej. W szpitalu, w którym rodziłam, nikt nie potrafił nam niczego wyjaśnić ani udzielić jakichkolwiek rad. Właściwie wszyscy starali się unikać rozmów z nami. Mieli nam do zaoferowania tylko tabletki uspokajające, których nie brałam, ponieważ uważałam i nadal uważam, że jest to taki problem, do którego trzeba podejść z trzeźwym umysłem.

Ludzi, którzy wspierali nas psychicznie w tych ciężkich chwilach, było wielu. Byli też tacy, którzy nas dołowali, ale tych po prostu ignorujemy.

Wszystkie informacje, które posiadamy, a które dotyczą naszej Rozalki, zdobywaliśmy sami i przy pomocy osób nam życzliwych.

Zakład pracy męża „Horstmann” wspomógł nas finansowo. Placówki, do których zwróciliśmy się o pomoc – Centrum Pomocy Rodzinie i gmina – pokryły koszt wyposażenia domu w niezbędną dla Rozalki klimatyzację. Należą im się za to szczególne podziękowania.

A naszą małą Rozalkę kochamy za to, kim jest, a nie za to, jaka jest.

Agnieszka Szymańska

GDY LEKARZ SIĘ MYLI...

Jestem matką, która straciła swoje dziecko podczas porodu. Było to dwa lata temu. To była moja trzecia ciąża. Gdy po raz pierwszy spodziewałam się dziecka, szesnaście lat temu, w moim mieście funkcjonował tylko jeden aparat USG, a kolejki były tak duże, że praktycznie nie miałam szans na wykonania badania prenatalnego w czasie trwania ciąży. Moja młodsza córeczka ma pięć lat i podczas tej ciąży byłam kilkakrotnie badana za pomocą USG. Jednak niewiele tak naprawdę wiedziałam o standardach badań prenatalnych, o ich sensie. Dopiero tragedia, jaką przeżyłam, uzmysłowiła mi, jakie to jest ważne.

Wszystkie moje ciążę prowadziła jedna lekarka, sąsiadka. Miałam do niej bezgraniczne zaufanie. Za późno zorientowałam się, jak wiele zrobiła błędów. Przez osiem miesięcy ona i lekarze wykonujący badania USG utrzymywali mnie w przekonaniu, że urodzę zdrowe dziecko. Kilkanaście dni przed porodem dowiedziałam się, że moja córeczka nie ma szans na samodzielne życie. Mimo mojego wieku, nie skierowano mnie na badania prenatalne, bo uznano, że to niepotrzebne. Lekarka ignorowała moje wszystkie uwagi o wynikach USG. A miałam wątpliwości!

Badania ultrasonograficzne wykonywałam w szpitalu miejskim. Za każdym razem robił je inny lekarz. Znałam ich mniej więcej, bo kilka lat wcześniej rodziłam w tym szpitalu Anię. Co mnie niepokoiło? Że mimo upływu czasu słyszałam: to dziecko jest jeszcze malutkie, a potem określano termin porodu – coraz odleglejszy. To mogło oznaczać jedno – dziecko nie rozwija się jak należy. Gdy zaniepokojona wypytywałam, co jest nie tak, tłumaczyli mi, że: pomyliłam datę miesiączki, dziecko nadrobi swój rozwój, jeden z lekarzy wmawiał mi, że jajczkowanie w moim wieku może być na koniec cyklu, tuż przed rozpoczęciem okresu. Jednak – jak wszyscy mnie zapewniali – proporcje dziecka są idealne, serduszko zdrowe, tylko jest malutkie. Było tak malutkie, że w siódmym miesiącu ważyło 600 gram. Ale to nikogo nie niepokoiło. Badanie USG trwało zazwyczaj pięć minut, wypisywanie wyniku drugie tyle, potem lekarz kasował zwyczajowo 30 złotych, oczywiście bez żadnego pokwitowania.

Według moich obliczeń dziecko powinno urodzić się na przełomie września i października. Idę na kolejne USG. Lekarz znów monotonnym głosem mówi, że dziecko jest maleńkie, ale zdrowe. Termin porodu określa na koniec listopada, dwa miesiące po spodziewanym! Teraz jestem już pewna, że coś jest nie tak. W końcu informuje mnie, że skoro jestem taka nerwowa, to mogę zgłosić się na specjalistyczne badania w klinice. Podaje mi telefon do specjalistki. „Ale to drogie” – zaznacza. Konsultuję się ze swoim ginekologiem. „Idź” – doradza po raz pierwszy zdecydowanie.

Pani dr Agata Włoch przyjmuje mnie w ciągu dwóch dni. W czasie badania milczy. Przez ponad godzinę nie pada ani słowo. Apotem obwieszcza mi wyrok śmierci dla mojego dziecka. I diagnozę. To trisomia 13.

Moja córeczka ma niewykształcony mózg i serce. Ma ubytki w kościach czaszki i nosa. Rozszczepy warg, podniebienia. Jedyne, co ma zdrowe, to nerki i... proporcjonalną budowę ciała. Waży tylko 1400 gram, a łożysko wskazuje, że termin porodu jest tuż tuż. Jedyna prawidłowa diagnoza, jaką wcześniej postawili lekarze, to płęć.

Powoli dociera do mnie znaczenie tych słów. Nie ma żadnej nadziei. Dziecko nie przeżyje porodu. No, może kilka dni, w męczarniach. Nazwa choroby – trisomia 13 albo zespół Patau – kłuje mnie w mózgu jak szpilka. To choroba genetyczna, błąd w podziale komórek. Choroba, której wykrycie w odpowiednim momencie kwalifikuje według polskiego prawa do legalnej aborcji. Fachowiec dobrze odczytujący obraz USG powinien wykryć ją już w pierwszym trymestrze ciąży. Jednym z charakterystycznych objawów jest niewykształcone serce, podczas gdy lekarze uważali, że jest ono prawidłowo zbudowane! Nigdy nie byłam zwolenniczką aborcji. Ale uzasadniona, tak jak w moim przypadku, jest czasami jedynym wyjściem. Nie wiem, jak zachowałam się wówczas. Może nie poddałabym się jej i liczyła na cud. Ale miałabym prawo wyboru. Jeśli zdecydowałabym się kontynuować ciążę, to byłabym przygotowana na takie rozwiązanie. Teraz wiem, że aborcja sprawiłaby mniejszy ból. Nie ma nic gorszego na świecie niż grzebanie własnego dziecka.

Dramat trwał tydzień. Najgorszy tydzień naszego życia. Lekarka uświadamia mi, ile błędów, podstawowych błędów, popełnili lekarze prowadzący moją ciążę i diagnostykę. Choroby genetyczne w 95% można stwierdzić na podstawie badania cytogenetycznego. Dobry lekarz wykryje wady już u małego płodu podczas badania USG.

Jestem dziennikarzem i wybrałam specyficzną formę terapii. Opisałam moją historię w tygodniku „Przegląd”. Dostałam mnóstwo listów, wzięłam też udział w programie Ewy Drzyzgi „Rozmowy w toku” poświęconym diagnostyce prenatalnej. Znaczenie badań prenatalnych dotarło do mnie ponownie w pełni dopiero po wielu rozmowach z matkami, które podobnie jak ja straciły swoje niemowlęta. Diagnostyka prenatalna to kolejny fatalnie zorganizowany fragment polskiego lecznictwa. Dlatego postanowiłam napisać broszurę, zbiór moich reportaży wraz z konkretnymi informacjami o chorobach płodu i możliwościach ich rozpoznawania. Dzięki uprzejmości Federacji broszurkę można czytać na jej stronie internetowej (www.federa.org.pl). Namówiłam też telewizję polską do nakręcenia dwóch filmów na ten temat. Jeden został już wyemitowany w „Ekspresie Reporterów”. Była to historia kobiety z Opola, która straciła już dwoje dzieci. Miały wady serca i śmiem twierdzić, że drugi syn mógłby zostać uratowany, gdyby wcześniej tę wadę zauważono. Druga historia była przykładem pozytywnej diagnozy. W czasie ciąży wykryto wadę serca i dziecko zaraz po porodzie zostało skierowane do odpowiedniej kliniki i zoperowane. Ma dziś prawie dwa latka i jest to cudowny, normalnie funkcjonujący chłopczyk. Drugi film, dokumentalny, będzie

wyemitowany w grudniu lub styczniu w cyklu „Polska bez fikcji” w programie drugim. Ciągłe piszę nowe reportaże na ten temat. Nie chcę atakować lekarzy. Znam ich fatalną sytuację. Mój przyjaciel pediatra pracuje niemal 24 godziny na dobę. Ze szpitala do przychodni, potem dyżur w następnej. Musi tak robić, żeby przeżyć. Na oddziałach noworodkowych nikt nie chce pracować. Odpowiedzialność i stres są tak olbrzymie, że mało kto potrafi wytrzymać taką presję. Nie ma drugiego takiego zawodu, na którego końcu jest ludzkie życie. A lekarzy zmusza się do katorżniczej pracy za grosze. Nie umożliwia się powszechnego dostępu do szkoleń, bezpłatnych, są szpitale, które funkcjonują tylko dzięki sprzętowi dostarczanemu przez sponsorów w celu testowania. Jak długo tak ma być? Mimo to, gdy lekarz się pomyli, to musi ponosić za to odpowiedzialność. Nie dziwię się więc tej specyficznej zawodowej solidarności. Dopóki w naszym kraju nie zostaną stworzone odpowiednie mechanizmy i przyjęte odpowiednie standardy postępowania oraz stworzone warunki do ich przestrzegania, takie przypadki jak mój będą się powtarzać. I kobiety będą przeżywać swoje dramaty w samotności. To trudne pisać i opowiadać o tym wszystkim. Każda rozmowa z matką, która straciła swoje dziecko, niezwykle mnie wyczerpuje. Ale trzeba pokazać autentyczne dramaty dotyczące żywych ludzi, a nie statystycznych pacjentów ujmowanych w sprawozdaniach. Może to w końcu kimś wstrząśnie. Politykami, aby naprawili służbę zdrowia. Lekarzami, aby w to, co robią, wkładali jeszcze większą odpowiedzialność. Nie podchodzili rutynowo, nawet gdy są przemęczeni i nie mogą już patrzeć na pacjentów. Idąc śladami moich rozmówców odkryłam, że brak wiedzy dotyczy też możliwości pomocy w różnych schorzeniach. Na przykład wadę serca, na jaką zmarł syn jednej z moich bohaterek, od kilku lat leczy się w Polsce, w Krakowie. Podobnie jest z innymi chorobami. W wielu klinikach wspaniali fachowcy specjalizują się w leczeniu niezwykle trudnych wad. Poświęcają czas i energię na doskonalenie swych metod, podczas gdy lekarze zza miedzy nie wiedzą, że dane schorzenie można wyleczyć i dopuszczają do śmierci lub kalectwa małych pacjentów.

Beata Znamirowska-Soczawa

Broszura Beaty Znamirowskiej-Soczawy „Pogrzeb zamiast chrzcina” jest dostępna na stronie internetowej Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny www.federa.org.pl. Jest to zbiór reportaży o błędnej i właściwej diagnostyce prenatalnej, chorobach płodu i noworodków wraz z komentarzami lekarzy specjalistów.

ONI MAJĄ SWOJE PRAWA

Gdy zaszłam w trzecią ciążę w lutym 2000 roku przeżyłam wstrząs. Od dzieciństwa cierpię na bardzo poważną wadę wzroku (-24 dioptrie) i zwyrodnienie siatkówek. Już przy poprzedniej ciąży lekarka okulistka mówiła mi o ryzyku utraty wzroku. Mój ogólny stan zdrowia również pozostawiał wiele do życzenia: miałam anemię, bardzo niskie ciśnienie (90/30), cierpiałam na niewyjaśnione zaburzenia neurologiczne, zdarzały mi się omdlenia. Nie czułam się na siłach i nie chciałam rodzić dziecka. Tym bardziej, że sytuacja materialna mojej czteroosobowej rodziny również była dramatyczna – kawalerka bez centralnego ogrzewania, oboje z mężem bez pracy. Gdy podjęłam decyzję o skorzystaniu z prawa do przerwania ciąży ze względu na zagrożenie jakie ta stwarzała dla mojego zdrowia, obie lekarki okulistki, u których się leczyłam, odmówiły wystawienia odpowiedniego zaświadczenia tłumacząc, że przecież nie mogą mieć pewności, że ciąża pozbawi mnie wzroku. Zaświadczenie odważyła się wystawić lekarka rodzinna, która dodatkowo wskazała na ryzyko wynikające z tego, że byłby to już trzeci poród przez cesarskie cięcie. Gdy zjawiłam się z tym zaświadczeniem u kierownika kliniki ginekologiczno-położniczej, doktora D., ten – bez zbadania mnie i bez konsultowania się z innymi specjalistami – przybił na jego odwrocie kilka pieczętek i napisał adnotację, że wymienione przeciwwskazania żadnymi przeciwwskazaniami nie są. W ten sposób zmusił mnie do urodzenia dziecka.

W czasie, który upłynął od tamtych wydarzeń, stan mojego zdrowia znacznie się pogorszył. Zauważyłam znaczne pogorszenie ostrości widzenia prawym okiem. Lewym widziałam bardzo słabo już od ponad 10 lat. Mniej więcej dwa miesiące po porodzie zabrano mnie na ostry dyżur okulistyczny (do Kliniki Okulistycznej CMKP). Lekarz, który mnie przyjął, skrzyczał mnie: „Kto Pani zezwolił na tę ciążę?!” Jak na ironię był to ten sam szpital, w którym odmówiono mi zabiegu. W trakcie badań stwierdził w plamce żółtej w prawym oku resorbujący się wylew krwi, a w oku lewym – degenerację plamki siatkówki (ostrość widzenia na prawe oko – liczenie palców z odległości trzech metrów, na oko lewe – liczenie palców z odległości pięć metrów). Widziałam na odległość około półtora metra w okularach. Przed porodem miałam drugą grupę inwalidzką – w uzasadnieniu orzeczenia o jej przyznaniu napisano, że choć stan mojego zdrowia nie zezwala na pracę w normalnych warunkach, nie wymagam opieki osoby drugiej. Po porodzie zakwalifikowano mnie do wyższej, pierwszej grupy inwalidzkiej, a w uzasadnieniu potwierdzającym to orzeczenie stwierdzono, że teraz „wymagam stałej opieki i pomocy osób drugih w pełnieniu ról społecznych i codziennej egzystencji”.

Mam ogromny żal do lekarzy – do okulistek, które tak lekceważąco potraktowały moje problemy ze wzrokiem, i do doktora D., który uniemożliwił mi skorzystanie z prawa, jakie dawała mi i tak nieludzka ustawa antyaborcyjna. Ponieważ przez cały czas ponoszę konsekwencję postawy dr. D., w kwietniu 2001 r. złożyłam

w prokuraturze zawiadomienie o popełnieniu przez niego przestępstwa. Zarzuciłam mu, że uniemożliwił mi poddanie się legalnemu zabiegowi przerwania ciąży, na skutek czego doznałam ciężkiego uszczerbku na zdrowiu w postaci prawie całkowitej utraty zdolności widzenia. Prokurator, który mnie w tej sprawie przesłuchiwał, od razu dał mi do zrozumienia, że jestem po przegranej stronie. I rzeczywiście, 31 grudnia 2001 r. śledztwo zostało umorzone. Wcześniej prokuratura postanowiła zasięgnąć opinii biegłych i wysłała mnie na badania okulistyczne do Akademii Medycznej w Białymstoku. W opinii biegli stwierdzili, że „pogorszenie się wzroku [...] wynika z istoty choroby, która ma charakter postępujący, a nie z powodu ciąży i porodu”. Opinie podpisało trzech biegłych – specjaliści od ginekologii i położnictwa, chorób oczu i medycyny sądowej. Co najmniej dwóch z nich sformułowało swój osąd w mojej sprawie nie mając z mną kontaktu. Przyjął mnie bowiem tylko jeden lekarz – okulista. Nie jestem pewna, czy należał do grona biegłych, bo na pożegnanie powiedział coś w rodzaju „ja panią zbadałem, ale co na to biegli...” Badanie trwało 10 minut i odbyło się bez wykorzystania specjalistycznego sprzętu. Za to studiowanie materiału aktowego i dokumentacji lekarskiej zajęło biegłym 47 godzin, a koszty związane z wystawieniem opinii wyniosły 2305 zł. Ostatecznie biegli stwierdzili: „przy tak poważnej wadzie wzroku ryzyko odwarstwienia siatkówki istniało u chorej od czasu powstania tej wady i trwa nadal, a przebyta ciąża i poród nie miały wpływu na zwiększenie się tego ryzyka”. Byli również pewni, że mikrowylew na początku stycznia „nie miał żadnego związku przyczynowego z ciążą i porodem”. Według nich świadczy o tym to, że dwie poprzednie ciąży nie spowodowały pogorszenia wzroku. Uznali również, że i po trzeciej takie pogorszenie nie nastąpiło.

Prokuratura nie wzięła pod uwagę zeznań świadków, z których wynika, że przeprowadzone u mnie po ostatniej ciąży i porodzie badanie wykazało zwyrodnienie po wcześniejszych wylewach. Nie wypowiedzieli się jednoznacznie co do czasu powstania tych wylewów. Nie wykluczyli jednak, iż mogły powstać w czasie ciąży, w trakcie porodu przez cesarskie cięcie lub bezpośrednio po nim.

Najbardziej niezrozumiałe jest dla mnie jednak to, że prokuratura w ogóle nie wezwała do złożenia wyjaśnień lekarza, który zniszczył moje zaświadczenie i odmówił mi wykonania zabiegu. A przecież innych lekarzy wezwano do złożenia zeznań w mojej sprawie.

Mam wiele do zarzucenia prokuraturze także pod względem formalnym – oburzający był stan akt sprawy. Prokurator prowadzący moją sprawę zachowywał się wobec mnie obraźliwie. Protokoły zawierające zeznania świadków były nieczytelne, spisane odręcznie. Gdy zwróciłam na to uwagę prokuratorowi i poprosiłam o pomoc w odszyfrowaniu tekstu, ten oburzony powiedział: „Ja nie będę czytał Pani akt sprawy”. A przecież wiedział, iż cierpię na poważną wadę krótkowzroczności.

Dla mnie – rencistki i osoby bardzo słabo widzącej – poważną barierą w dochodzeniu sprawiedliwości było to, że za każdym razem gdy chciałam mieć wgląd na akt, musiałam składać podanie oraz kupować znaczki skarbowe.

Po umorzeniu śledztwa prokurator powiedział do mnie: „I kto miał rację?” Odniosłam wrażenie, że chodzi mu o to, iż nie ma żadnego sensu oskarżać lekarzy. Postępowanie zostało umorzone. Napisałam zażalenie do prokuratury okręgowej. Prokuratura skierowała sprawę do sądu rejonowego, gdyż też nie dopatrzyła się żadnej winy ze strony lekarzy. Sąd rejonowy również nie dopatrzył się w postępowaniu lekarza żadnych nieprawidłowości. Nie wziął pod uwagę drastycznego pogorszenia się mojego zdrowia. Napisał tylko, że wylewy są rzeczą naturalną przy wadzie, na którą cierpię.

Pani sędzia po odczytaniu wyroku mówiła, że jest jej bardzo przykro i że mnie rozumie. Odnosząc się do prowadzenia akt przez prokuratora powiedziała zaś, że gdybym złożyła skargę w tej sprawie, to by go ukarała, bo sama ich nie mogła odczytać. Oczywiście tego zrozumienia nie znalazłam w uzasadnieniu wyroku. Od orzeczenia sądu nie przysługiwało mi już żadne odwołanie.

W czasie gdy w prokuraturze ważyły się losy mojej sprawy, złożyłam zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa do okręgowej izby lekarskiej, a po umorzeniu przez nią postępowania odwołałam się do Naczelnej Izby Lekarskiej. O postępach w sprawie praktycznie nie byłam informowana. Musiałam dzwonić i dowiadywać się o to osobiście. Nie pozwolono mi kserować żadnych dokumentów – wolno mi je było tylko przepisywać. W teczkach z aktami sprawy zasłonięte były tylko dane adresowe lekarza, moje nie były zakryte. Lekarz mógł więc mieć wgląd w moje dane, ale ja w jego nie. Okazało się też, że chociaż lekarza wezwano, by dostarczył moją dokumentację medyczną, nie dostarczył jej, po prostu jej nie było. Panie w Izbie były opryskliwe. Irytowały się, że dzwonię i pytam o postępy w mojej sprawie.

Po długim oczekiwaniu na jakąkolwiek odpowiedź zażądałam rozmowy z panią rzecznik odpowiedzialności zawodowej. Chciałam wiedzieć, dlaczego lekarz zwracał się do mnie po imieniu. Pani rzecznik wyjaśniła, że na pewno myślał, iż jestem bardzo młodzieńką, zresztą na Zachodzie takie zachowanie jest normalne. Zwróciłam uwagę na to, że w mojej obecności lekarka szeptała coś do ucha lekarzowi, który zaraz potem ostemplował i opatrzył negatywnym komentarzem moje zaświadczenie na temat dokonania zabiegu. Pani rzecznik powiedziała, że się o to lekarza zapyta, ale żebym się nie martwiła, bo to na pewno nie było na mój temat. Wychodząc usłyszałam słowa: „Wie pani, powinni usunąć pani tę ciążę, ale oni mają swoje prawa”.

Chciałam dojść sprawiedliwości w polskich sądach i udowodnić, że lekarze nie mieli racji, że przysługujące mi prawo zostało złamane. Tymczasem przez cały ten czas czułam się nie jak pokrzywdzona, ale jak oskarżona. Nie mogę darować sposobu, w jaki potraktowali mnie lekarze.

W skardze do Izb Lekarskich zarzuciłam lekarzowi, że nie dopełnił wobec mnie obowiązku poszanowania godności i prywatności, a także życzliwego traktowania pacjenta, obowiązku należytej staranności i poświęcenia niezbędnego czasu dla pacjenta, obowiązku wskazania innej możliwości uzyskania pomocy lekarskiej, obowiązku zapewnienia pacjentowi pełnej informacji.

Okręgowa i Naczelna Izba Lekarska nie dopatrzyły się jednak żadnych błędów ani uchybień ze strony lekarzy. Postępowanie umorzono.

Ponieważ u siebie w kraju wykorzystałam wszystkie środki odwoławcze przewidziane polskim prawem, zdecydowałam się złożyć skargę do Trybunału Europejskiego w Strasburgu.

Chciałabym, żeby Trybunał w Strasburgu orzekł, że polski system jest niesprawiedliwy.

Obecnie nie jestem już inwalidką II grupy inwalidzkiej, lecz I grupy. Ta grupa została mi już przyznana na stałe. Do egzystencji wymagam pomocy osób drugich. Po pięciu latach borykania się z różnymi trudnościami i problemami zdrowotnymi leczenie nerwicę lękową objawiającą się silnymi dusznościami. Przyjmuję bardzo duże dawki leków uspokajających. Mój ogólny stan zdrowia bardzo się pogorszył. Ostatnio znalazłam się pod opieką lekarza psychiatry.

Jeśli chodzi o warunki życiowe, to naprawdę jest nam bardzo ciężko nie płacimy rachunków za mieszkanie, często zdarzają się dni, kiedy nie mamy co dać dzieciom jeść. Utrzymujemy się z renty i zasiłków rodzinnych. Mieszkamy na 30 m². Nie mamy gdzie wstawić łóżeczka dla najmłodszej córki.

Pozostaje mi tylko nadzieja, że kiedyś będzie lepiej...

Alicja Tysiąc

HISTORII CIĄG DALSZY

To moje drugie wystąpienie w trybunale. W pierwszym informowałam o sytuacji, jaka nastąpiła, gdy lekarz w szpitalu odmówił mi skierowania na badania prenatalne w drugiej ciąży, mimo iż pierwsze dziecko urodziło się chore, i zgodnie z prawem przy każdej kolejnej ciąży powinnam być kierowana na takie badania. Drugie dziecko urodziło się z tą samą chorobą co starsze – z odmianą achondroplazji.

Od tego czasu sytuacja finansowa i mieszkaniowa całej naszej rodziny niewiele się zmieniła. Dużo natomiast zmieniło się jeśli chodzi o leczenie dzieci, jak i kwestie sądowe z powództwa cywilnego, a także stan sprawy w Naczelnej Izbie Lekarskiej.

Dzięki Federacji i poprzedniemu Trybunałowi poznałam osoby, które chciały udzielić nam pomocy – dziennikarzy, a w szczególności panią Jolantę Koral. Pani Koral znalazła kancelarię prawną, która nieodpłatnie podjęła się nam pomóc w uzyskaniu renty dla córki.

Po trwającym przez trzy lata procesie w maju bieżącego roku zapadł wyrok w Sądzie Rejonowym w Łomży, przyznający nam około 67 000 zł za cierpienia poporodowe związane z depresją poporodową i częściową utratą dochodów. Jednak sąd nie przyznał renty dziecku – odszkodowania pokrywającego koszty leczenia i rehabilitacji – a więc tego, co dla nas było najważniejsze. Zarówno pozwani, jak i my odwołaliśmy się od wyroku do sądu wyższej instancji. To, co mnie bardzo zabolowało w czasie procesu, to fakt, iż pozwani za wszelką cenę starali się z tego zrobić proces o aborcję, a nie o badania prenatalne. Bolało także wiele innych rzeczy, na przykład: argumenty, że żądamy pieniędzy na „wakacyjne wojaże”, a chodziło o koszty pobytu w sanatorium, że dzieci nie muszą mieć specjalistycznego obuwia za 150 zł, mogę przecież „iść na rynek i kupić buty dla dzieci za 20 zł”, że chcemy się dorobić na dzieciach, i wiele innych.

Rzecznik odpowiedzialności zawodowej w Naczelnej Izbie Lekarskiej wielokrotnie umarzał naszą sprawę. Odwoływaliśmy się w tej sprawie dwukrotnie do Sądu Lekarskiego. Niedawno poinformowano nas o tym, że Sąd Lekarski uchylił ostatnie umorzenie, wskazując na nierzetelność osoby prowadzącej sprawę. Krótko mówiąc, prowadzący przez parę miesięcy nie zebrał dodatkowych dowodów, nie powołał biegłych i na podstawie tych samych przesłanek, które uprzednio podważył Sąd, po raz kolejny umorzył postępowanie przeciwko lekarzowi.

Syn jest po dwóch operacjach na kolankach, przeprowadzonych w krakowskim szpitalu dziecięcym UJ. Pierwszą miał w maju – w szpitalu spędził sześć tygodni, potem byliśmy z dziećmi w sanatorium, a w sierpniu miał drugą operację na drugim kolanie. Gdy piszę ten tekst, a jest 9 września, syn jest od tygodnia na rehabilitacji w Krakowie. Przechodzę moralne piekło, bo byliśmy zmuszeni zostawić siedmioletnie dziecko samo w szpitalu i z powodu braków finansowych nawet nie

jesteśmy w stanie odwiedzić go w niedzielę. Zaraz potem będziemy starali się o kolejny turnus sanatoryjny – poszpitalny dla syna. I tu pojawi się problem jak go określają pozwani „wakacyjnych wojaży” – tymczasem syn jedzie za darmo, lecz opiekun musi ponieść pełną odpłatność za turnus, to jest około 1500 zł albo i więcej. Syn nie może pojechać sam, gdyż od maja porusza się na wózku i nie jest w stanie samodzielnie funkcjonować. Córka nadal choruje na górne i dolne drogi oddechowe tak często, że nieraz nie starcza nam na leki. Teraz też musiałam przełożyć jej rehabilitację, bo właśnie ma zapalenie oskrzeli.

Przez pewien czas dzieci otrzymywały rentę z fundacji TVN „Nie jesteś sam”, ale obecnie jej nie dostają, ponieważ – jak wyjaśniono mi w liście – jest za dużo osób, które proszą o pomoc i Fundacja zdecydowała, że będzie raczej pomagać tylko szpitalom, ośrodkom rehabilitacyjnym i innym instytucjom. Gdy otrzymywaliśmy tę rentę, starczało nam na leki, jedzenie, opłaty i dojazdy do lekarzy dla dzieci. Dziś mamy tak duże długi, że zarządca mieszkania grozi nam procesem sądowym. Był moment, gdy odcięto nam telefon z powodu nieopłaconych rachunków, a jak można bez niego funkcjonować, gdy nigdy nie wiadomo, kiedy będzie trzeba wezwać pogotowie dla dziecka?

Największym naszym problemem, którego nie udało się rozwiązać, mimo iż interesowało się nim kilkoro dziennikarzy, jest mieszkanie. Mieszkamy nadal na 32 m² w użyczonym mieszkaniu. Jest tu tak mało miejsca, że syn nie ma nawet możliwości poruszania się po domu. Od września Mateusz chodzi do pierwszej klasy, a właściwie szkoła przychodzi do niego. W takich warunkach lokalowych trudno jest dziecku zapewnić odpowiednie warunki do nauki. Panie nauczycielki też są w trudnej sytuacji, bo gdy Monika jest chora, lekcje z Mateuszkiem odbywają się przy zabawie młodszej siostry. Podobno nasze państwo zakłada zapewnienie równego startu dzieciom zdrowym i niepełnosprawnym – w naszym wypadku to czysta fikcja. Wielokrotnie zwracałam się do Pana Prezydenta Miasta i do radnych o pomoc w uzyskaniu mieszkania – bez odzewu. Nie dostanę go nigdy, bo – jak usłyszałam – chore dzieci to mój problem. Mieszkanie powinnam sobie kupić albo wynająć i nie zawracać głowy urzędnikom. W uchwale miasta nadal nie ma nic o pierwszeństwie w przyznawaniu mieszkań takim rodzinom jak nasza. Prędzej dostanie mieszkanie rodzina wielodzietna niż my. Ja też wolałabym mieć czworo dzieci zdrowych i wstawić do domu łóżka piętrowe, niż borykać się z takimi uprzedzeniami i problemami jak dotychczas. W naszym lokum nie ma mowy o wstawieniu łóżka piętrowego, ze względu na chorobę dzieci meble muszą być niskie, odpowiednio dostosowane do ich wzrostu. Dostosowana musi być również kuchnia i łazienka. Rząd i parlamentarzyści również przywiązują mało wagi do takich problemów – zlikwidowano odgórne zapisy, że takim rodzinom jak moja przysługują mieszkania w pierwszej kolejności i z dodatkowym metrażem, jeżeli osoba niepełnosprawna porusza się na wózku lub wymaga oddzielnego pokoju. Takich rodzin w kraju jest na pewno dużo, a problem nie dotyczy tylko mnie, nikogo nie obchodzą jednak problemy tych, którzy nie mogą się sami bronić, wyjść na ulicę, zastrajkować. Widać to choćby po ostatnich zapisach dotyczących ograniczenia finansowania przez PFRON warsztatów terapii zajęciowej.

To, że osoby niepełnosprawne i ich problemy nie interesują naszych przedstawicieli w Sejmie czy Senacie widać, gdy zwrócimy się do nich o jakąkolwiek pomoc – nawet jeśli nic nie można zrobić, to taka osoba powinna choćby odpowiedzieć. Sama osobiście wysłałam kilka listów do jednego z posłów z naszego miasta i nigdy nie dostałam żadnej odpowiedzi. Jestem jednak pewna, że – przed kolejnym głosowaniem – ten sam poseł będzie ponownie zapewniał mnie i innych, że zajmie się naszymi problemami, gdy go wybierzemy – to czysta obłuda, kielbasa wyborcza naszych parlamentarzystów.

Od dwóch lat mamy samochód dzięki kredytowi z PFRON, który będziemy spłacać jeszcze przez trzy lata. Jest to nasza szansa na pomoc dzieciom, bo dzięki niemu jesteśmy w stanie częściej jeździć do lekarzy czy sanatorium. Problemem są natomiast wydatki na paliwo – w takich rodzinach zawsze na coś brakuje. Mąż pracuje na cały etat, ale ja mam tylko pół etatu ze względu na dzieci. Córka chodzi do przedszkola do grupy pięciolatek. Do syna muszę zatrudniać pomoc do domu ze względu na fakt, iż dziecko nie może zostać samo nawet na 3-4 godziny, gdy jestem w pracy. To wszystko oznacza koszty – koszty, których nie ponoszą rodziny bez takich problemów. Jeśli policzymy wszystkie nasze wydatki i przychody okazuje się, że na życie (jedzenie, środki czystości, ubranie) zostaje cztero-osobowej rodzinie około 500 zł.

W pracy też bywa bardzo różnie. Ostatnio usłyszałam, że muszę wybierać między awansem zawodowym nauczyciela a zdrowiem dzieci. Przed takim wyborem potrafił postawić mnie dyrektor, który już kilka lat wcześniej znał moje problemy. Bardzo głęboko zaboląły mnie takie słowa. W tym roku szkolnym mam tylko 10 godzin tygodniowo, a dyrektor chciał, żebym w pracy bywała codziennie, i to z okienkami między lekcjami. Długie tłumaczenie i prośby doprowadziły do tego, że mam zajęcia trzy dni w tygodniu. Jak przy takim podejściu można mówić o pomocnej dłoni? Chociaż są i tacy, którzy tej pomocy nie odmawiają – w zeszłym roku dzięki firmie TERRAZYT mogliśmy wymienić w mieszkaniu okna po bardzo niskich kosztach. Stare były tak nieszczelne, że w czasie mrozów przybijaliśmy koc do okiennicy, który przymarzał do szyby wewnątrz mieszkania. Teraz mamy ciepło. W zeszłym roku na Boże Narodzenie napisała do nas list i przysłała wielką paczkę pani z Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. W tym roku dzięki jej pomocy mogliśmy wysłać Mateuszka do szpitala na operację i dzieci do sanatorium – wiem, że niełatwo jej było wysłać obcej rodzinie ciężko zarobione pieniądze – będziemy za to jej i jej rodzinie wdzięczni do końca życia. Można właściwie powiedzieć, że dzięki jej ofiarności nasz syn będzie – po długotrwałej rehabilitacji – sam chodził. W tym roku w sierpniu napisała do nas list jedna z mieszkanek Warszawy jej listy i możliwość wyżalenia się są dla mnie osobiście bardzo pomocne. W którymś ze swoich listów napisała, że nie powinnam wątpić w ludzi – ludzie boją się pomagać, gdyż dużo jest nieuczciwych, którzy pod przykrywką choroby dzieci naciągają innych. Wierzę jej i nie mam ludziom tego za złe. Mam tylko ogromny żal do tych, którzy w taki okrutny sposób naciągają innych i ci, którzy faktycznie potrzebują pomocy, mogą jej nie uzyskać.

Wiem, że takich rodzin jak nasza jest dużo, ale niech wszyscy, którzy usłyszą lub przeczytają te zwierzenia, rozejrzą się wokół siebie, swoich sąsiadów, znajomych i popatrzą, czy nie mogą innym pomóc. Może wystarczy podarować dziecku sukienkę, z której wyrosło nasze dziecko. Może można kupić bułkę, bo rodziców nie stać na śniadanie dla dziecka zanim wyjdzie do szkoły, a może komuś z potrzebującej wsparcia rodziny dać, na przykład, do posprzątania ogródek, tak aby mógł coś zarobić dla swojej rodziny? Może nie każdy będzie chciał od państwa uzyskać tę pomoc, ale proszę się nie zrażać i dalej pomagać potrzebującym.

Barbara Wojnarowska